Rocznik I. Kraków, 1 października 1899. Numer 4.

SKARBNICA

Pismo ludowe illustrowane
popularno-naukowe i powieściowe.

WYDAWCA I REDAKTOR:
Ks. Marceli Dziurzyński.



Życzliwych nam Czytelników

uprzejmie prosimy o rozszerzanie „Skarbnicy“ między znajomymi i zachęcanie ich do popierania tego pisma.

Przy większej bowiem liczbie prenumeratorów, będziemy mogli albo prenumeratę zniżyć, albo objętość pisma powiększyć.

Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** złr. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

X. Stefan Podworski
Gwardyan
w Alwernii (poczta w miejscu).

Rok I. Kraków, 1 października 1899. Numer 4.

SKARBNICA

popularno-naukowa i powieściowa
dla ludu polskiego.
Wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Przedpłata wynosi:
w Austryi: na rok **2** złr. **50** ct. na pół roku **1** złr. **25** ct. — **W Niemczech:** na rok **5** marek. — **W Ameryce:** rocznie **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

Praca wzbogaca.

Oj! bieda, bieda na świecie! człowiek już nie wie, gdzie ma głowę, w domu kłopot, i za domem kłopot. Żona zrzędzi i klnie, córki próżnują, i tylko im stroje w głowie, dobrej czeladzi to na lekarstwo nie znajdzie. Drożyzna wielka, wciąż dawaj, a dawaj, a tu nie ma skąd, roboty źle płacą, materyał drogi. Człowiek pracuje i pracuje, a niczego dorobić się nie może!

Tak to nieraz rzemieślnik, gdy mu bieda dokuczy, sam ze sobą gawędzi, i ta gawęda na czem zwykle się kończy? Na frasunek dobry trunek! I nasuwa czapkę na głowę, bierze laskę do ręki, zatrzaśnie drzwiami, i wychodzi z domu! Ale gdzież on idzie? Może do kościoła, bo to jeszcze rano, drzwi kościelne otwarte, o kilka kroków tylko; może idzie przedłożyć Bogu nędzę i biedę swoję, i prosić o pomoc, i błagać, aby się Bóg zlitował nad jego niedolą, i użyczył mu siły i światła potrzebnego, i obdarzył go cierpliwością w znoszeniu przeciwności; może idzie starać się o materyał potrzebny, aby nabywszy go, podwójną pracą naprawić złe interesa? Może idzie do mądrego i przezornego przyjaciela, aby u niego rady zasięgnąć?

O! nie, on idzie do zwykłego rzemiosła swego, a tem rzemiosłem, to pijatyka; on doskonały w niem majster! nie

dziw, kiedy tak wiecznie w niem się ćwiczy. Idzie do dobrego przyjaciela swego, który już z kieliszkiem w ręku, nie może się doczekać na jego przybycie, idzie do swego kościoła zwykłego, idzie do szynku! Zaiste! nie mógł sobie lepiej zaradzić i z biedy się otrząść. Na co to pracować, męczyć się, kiedy to najłatwiej upić się, i o wszystkiem zapomnieć!

I cóż dziwnego, że panowie i gospodarze widząc, co się w twoim domu dzieje, żadnej nie chcą powierzyć ci roboty! O bracia, to już serce boli, patrząc, na co ten stan rzemieślniczy zeszedł u nas! Stan taki piękny, pożyteczny i zbawienny! A przyczyną tego, wyznajcie szczerze, to z bardzo małymi wyjątkami, nałóg pijaństwa, tak rozszerzony i wkorzeniony między rzemieślnikami, nałóg, który tyle rodzin wtrąca w przepaść zepsucia i boleści, i zabija szczęście doczesne i wieczne!

Dzień powszedni, poranek, a w warsztacie nie masz pana majstra, robota pilna obstalowana leży, jeszcze nie rozpoczęta, czeladź zaspana wyciąga się i gawędzi, a biedna matka z dziatkami płacze rzewnie w ubogiej izdebce! A pan majster gdzie? A pan majstrer zasiadł sobie wygodnie z podobnymi sobie towarzyszami za stołem w szynkowni, a w dymie fajczanym, to tak jak w obłoku; ani rozezna, kto tam siedzi, tylko słychać gwar i brzęk kieliszka, a spora flaszka anyżówki, jakby bożyszcze jakie świeci przed niemi.

I tu dopiero rada się rozpoczyna.

Co tu robić, jak tu biedę z domu wypłoszyć, jak tu się z nędzy podźwignąć? Lecz gdzieżby to człowiek, będąc spełna przy rozumie, mógł coś dobrze uradzić! Ten rozum, to natrętnik, i w ucho ciągle ci szepce: Wróć do domu, wstąp do kościoła, pomódl się, a potem zabierz się szczerze do roboty, to najlepsza, to jedyna rada, tu nic mądrego nie uradzisz! Ale jakże tu radzić można, kiedy głos sumienia wszystkie szyki mięsza, i ciągle się odzywa: Nie będzie w domu błogosławieństwa Bożego, kiedy ty w szynku po całych dniach przesiadywać będziesz; a więc trzeba koniecznie, trzeba się pozbyć tych natrętnych gości, i rozum zciemnić i sumienie zagłuszyć, a wtedy dopiero coś mądrego, korzystnego się uradzi!

I krąży kieliszek po kieliszku, szynkarz z radości się uśmiecha i stoi już z drugą flaszką na zawołanie. Oczy poczynają się iskrzeć, twarze się czerwienieją, języki się plączą, ale jakoś do ładu i porządku przyjść nie można; jeden radzi

tak, drugi inaczej; nic tu do końca się nie trafi, trzeba się zdać na sąd jakiego przyjaciela, rozumnego, doświadczonego, sumiennego, a ten przyjaciel już czeka; on naprzód już wyrachował swoje zyski lichwiarskie!

„No o cóż to wam idzie? Oto słuchaj panie gospodarzu! mam zamówioną pilną robotę, pieniądze na zadatek, dla skupienia materyału już się wzięły, lecz gdzieś się rozeszły, a tu nalegają na oddanie roboty, bo termin już dawno minął, radźcie więc, co teraz robić?

No czemużeście pierwej tego nie powiedzieli! Panowie majstrowie, zawsze tak łaskawi i do mnie przychodzicie, ja także zawsze najchętniejszy, na wasze usługi? A wieleż wam potrzeba? — Oto 6 złr. – Dam wam na 6 miesięcy i nie wielki procent, tylko 10 centów od reńskiego na miesiąc, ale połowę procentu naprzód odtrącę, a połtora reńskiego należy mi się od was za wódkę.

I pan majster weźmie 3 reńskie, a zaciągnął dług na 6 złr., i dziękuje za usłużność. Prawdziwie, tylko przy wódce można robić takie interesa.

Tak to gładko i pięknie idzie. I następuje czułe pożegnanie i panowie majstrowie obiecują przychodzić zawsze po radę i zapomogę do tego dobrego przyjaciela. Cała czułość wysypała się w szynku, a wróciwszy do domu, dla żony i dzieci zostały tylko słowa grubijańskie i zelżywe. Klnie na czem świat stoi, bo mu żona niesmaczny obiad przyrządziła, a on na ten obiad ani grosza nie zarobił! Na ten kawał mięsa, i tych kilka kartofli, ona z dziećmi może całą bezsenną noc pracowała. Krwawym może ich potem ten obiad zaprawiony! Lecz powiesz może: rozpacz do tego mnie przywiodła, i kiedy to człowiek z rzemiosła wyżywić się może! O! nie mów tego, bo nie rzemiosło, ale rzemieślnik winien!

Dał ci Bóg zręczność i siłę, czemuż nie używasz tych darów Bożych? Ale to dwa nieszczęśliwe nałogi, które nas gubią: lenistwo i pijaństwo. To i siły i rozum odejmuje! Ale mówią niektórzy: kiedy to u nas wszystko do kraju z zagranicy sprowadzają, i dlatego człowiek nie może znaleść roboty! Ale dlaczego z zagranicy sprowadzają? Oto dlatego, że rzadko w kraju można dostać jakąkolwiek rzecz, równie tanio i uczciwie zrobioną. Pójdzie pieniądz za wódkę, i dlatego mało który stolarz ma suche drzewo, szewc dobrze wyprawną skórą, kowal hartowne żelazo; spuszcza się majster na czeladź, a krawiec źle przykroi, a szwaczka źle uszyje, a gdy przyjdzie płacić, to się domagają takiej zapłaty, jakby za naj-

porządniejszą robotę! I cóż dziwnego, że każdy woli albo towar, albo samych rzemieślników sprowadzać z obcych krajów, i kowalów, i murarzów, i cieślów, bo robota idzie sporzej i żwawiej!

Mówisz: nie mam roboty! A jednak jak masz zamówioną, to doprosić się jej nie można. Pokąd jaki grosz w kieszeni, to ani mysli kto o pracy, a kiedy bieda przyciśnie, to pełno narzekania i jęku. Mija jeden, drugi i trzeci rermin, a ty się ze słowa nie uiszczasz, roboty nie odnosisz; jakżeż ją odnieść, kiedy jeszcze nie zaczęta! Zadatek się zmarnował, a teraz, kiedy przychodzi co do czego, nie masz ratunku innego, jak tylko zastawić rzeczy żony i dzieci, i wziąć pieniądze na lichwę.

O! mój bracie, kiedy raz w lichwiarskie dostaniesz się szpony, to już nie dla siebie, nie dla żony, nie dla dzieci twoja praca, ale dla lichwiarza. Tyś jest sługą, niewolnikiem jego; twoja praca — jego płaca! Wieluż to jest takich rzemieślników, którzy niedawno temu jeszcze, dobrze się zachowali i dobrze im się powodziło, a dziś przez lichwę do takiej przyszli nędzy, że ledwie ręki po jałmużnę nie wyciągają? Skądże to? Bo jak im Pan Bóg błogosławił, korzystać nie umieli. A gdyby ten czas na szynku zmarnowany, a z czasem i pieniądz, był użyty do pracy i do zakupienia materyału, ileżby to i zdrowia, i szczęścia, i błogosławieństwa Bożego, i grosza przybyło!

Organista na „Pustej Nocy“.

(Zabawne zdarzenie).

(Dokończenie.)

Pieśń się skończyła. Organista ukołysany ciężkiemi tonami pieśni spał w najlepsze, kłaniając się głową to Bartłomiejowi, co siedział obok niego, to całemu zgromadzeniu, to szafie, to piecowi, ale gdy śpiew ustał i wszyscy kaszleć i krząkać poczęli, porwał się organista ze snu, jak młynarz uśpiony warczeniem kół i kołataniem zrywa się, gdy młyn ustaje.

Na razie nie wiedząc gdzie jest i co się z nim dzieje, przecierał sobie oczy, fyrkając nosem i sapiąc, jakby z pół mili drogi przebiegł, ale gdy przyszedł do siebie, spojrzał na sennych i zmęczonych śpiewaków śmielej i powoli, przeciskając się między ławami, zasiadł na swojem miejscu.

„Pusta noc“ miała się już ku końcowi, koguty już dawno skończyły pierwsze pianie, a na wschodzie niebo się czerwienić zaczynało.

Należało mówić mowę, bo już czas było się rozchodzić. Organista miał głowę tak ciężką, jakby kto do niej żelaza nakładł; w uszach szumiało jak we młynie, a w tylnej części głowy tak okrutnie waliło, jak gdyby się tam kowal z kuźnią usadowił. Jednakże rady nie było. Podjął się powiedzieć, więc trzeba mówić, tembardziej, że już wszyscy o tem wiedzieli i niecierpliwie czekali. Powstał organista, westchnął, odchrząknął i zaczął.

V.

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

(In paradisum deducant te angeli), to jest, nie ten kiep, kto żyje, lecz ten kto umiera! Słowa wyjęte z księgi mądrości... Żałobni słuchacze... Świętej pamięci Franciszka Bąbalina z pierwszego męża Żmudzina żyła lat 73... miesięcy 5... dni 12... godzin 8... Ładny to wiek, bo jak powiada Pismo św. (et exultavit spiritus meus), to znaczy, kto jest dobry, długo żyje, a kto mocny, tęgo bije .. Tak i ś. p. Franciszka Bąbalina była dobrą, zdrową, a gdy się nadarzyła potrzeba, to i kija nie pożałowała, jak to może naocznie zaświadczyć kochający ją mąż Bartłomiej Bąbała i ś. p. Wojciech Żmuda (Bąbała się kłania organiście), który czeka na nią u wrót piekielnych... to jest chciałem powiedzieć u wrót rajskiej rozkoszy.

Świętej pamięci Bąbalina z pierwszego męża Żmudzina, była tak zacną i tak uczciwą kobietą, że nie skłamię, gdy ją porównam do owej żony Putyfara, co to w Egipcie Józefa do więzienia wtrąciła... Taka żona godna była Bartłomieja Bąbały i jego poprzednika Wojciecha Żmudy (Bartłomiej znowu się kłania)... Umarła... i leży na łóżku przykryta prześcieradłem, jak to wszyscy bardzo dobrze widzicie. Umarła i już nie żyje, o czem zaświadczy jej mąż Bartłomiej Bąbała (Bartłomiej, ocierając łzy rękawem, kłania się organiście) i jego poprzednik ś. p. Wojciech Żmuda. Tamten się cieszy z nią w niebie, a ten, a ten łzy rękawem uciera... Umarła i leży spokojnie, o czem wszyscy zaświadczyć możemy. Drżą przed nią djabły na tamtym świecie, jak drżała niegdyś cała nasza parafia... (organiście zaczyna się mięszać w głowie). Dziwna rzecz, że gdyby tak... śmierć była słabsza od człowieka... ale... to znaczy..., że choćby chłop pod kamień się skrył... to nie ujdzie śmierci,

(organiście zupełnie pomięszało się w głowie) ś. p. Franciszek Bąbała będzie do nieba przyjęty, bo powiada...

— Ależ to kobieta, nie chłop, — szepnął Piekut do ucha organiście.

— Kobieta? A to pal licho i babę — krzyknął organista w złości.

Na te słowa osłupieli wszyscy! Bo i jakżeż można tak powiedzieć na nieboszczyka. Organista sam się przestraszył tego, co wymówił.

Wszyscy z otwartemi gębami patrzeli na łóżko, jakby czekając, co na to nieboszczka powie. Nagle ktoś wrzasnął: „Wojtkowa się rusza".

Gdyby piorun był uderzył w chałupę, lub gdyby pożar wdarł się do izby, nie zrobiłby takiego popłochu, jak ten okrzyk przeraźliwy. Wszystko co było uciekało przez okna, przez drzwi, ścisk, zamieszanie i płacz nie do opisania. Organista bardziej od innych wystraszony, bo zdawało mu się, że nieboszczka najpierw się do niego zabierze, skakał po ławach i stołach jak kot, wrzeszcząc na całe gardło: Ostende nobis Domine misericordiam Tuam (pokaż nam, Panie, miłosierdzie Twoje), dostał się do sieni i sam nie wiedząc, co robi, wskoczył do beczki napełnionej wodą, sądząc zapewne, że tam znajdzie najlepsze schronienie. Poczuwszy jednakże niepotrzebny mu w tej przygodzie żywioł, wyskoczył jeszcze prędzej z beczki i pogalopował do domu bez czapki.

Już zaczynało świtać. W lasku pobliskim śpiewał przecudnie słowik, wtórowały mu inne ptaszki. Organiście mroczyło się w głowie. Pot obficie oblewał mu twarz. Wiatr targał mu włosami, pędził jak upiór. Nagle stanął jak wryty. Włosy najeżone stanęły jeszcze wyżej na głowie, zadrżał na całem ciele. Przebóg! własnym oczom nie wierzy. Nieboszczka Bartłomiejowa najwyraźniej stoi na drodze. Ta sama suknia kraciasta, ten sam kaftan biały ma na sobie. Zdaje się nawet z wyciągniętemi rękoma zbliżać do ku niemu, jakby miała chęć uścisnąć go serdecznie za tak piękną mowę.

— Wszelki duch Pana chwali, — wyjęknął organista i jak długi runął na ziemię.

VI.

Promienie wspaniale wschodzącego słońca, rozbiegłszy się po wszystkich zakątkach ziemi, zastały organistę leżącego na drodze. Drogi się w tem miejscu krzyżowały, a słup pomalo-

wany w pasy czarne i białe z białą tablicą, ogłaszającą granicę gmin Perek i Niżdzina, wskazywał drogę na cztery strony świata. Turkot zbliżającego się wozu obudził organistę, jednakże o własnych siłach dojść do domu nie mógł.

Zaledwie po kilku tygodniach przyszedł organista do siebie. Takiego się strachu nabawił na „pustej nocy“, a nieboszczka Bąbalina leżała sobie najspokojniej na łóżku, przykryta prześcieradłem i ani myślała się ruszać, tylko komuś ze snu tak się zdawało i tyle narobił strachu i zamieszania.

ZAWZIĘCI SĄSIEDZI.

I.

Obrazek z życia dawnej zaściankowej szlachty.

Ludzie nie mogą i nie powinni sobie wymierzać sprawiedliwości. Jest na to prawo, są sądy. Gdy jednak sprawa jest małej wagi i może być rozsądzoną polubownie, czyliż nie lepiej załatwić jej spokojnie i bez rozgłosu, aniżeli wałęsać się po sądach, z muchy robić częstokroć wołu, rozdmuchiwać nienawiści, tracić grosz krwawo zapracowany, męczyć siebie, przeciwnika i samych wreszcie sędziów? Czy nie lepiej, powiadamy, wyciągnąć do swego przeciwnika bratnią dłoń i powiedzieć mu szczerze: „bracie, tyś mnie skrzywdził, to się nie godzi chrześcijaninowi, zdajmy tę sprawę na sąsiadów, a teraz zgoda“, aniżeli nie znając prawa, ni świata, zawierzyć podszeptom jakiego wydrwigrosza i wdać się w szkodliwy dla obu stron proces?

Prawdy tej boleśnie doznali na sobie dwaj panowie szlachta, zeszłego stulecia, pan Andrzej Mojtyło i pan Maciej Szczuka. Mieszkali z dziada pradziada w jednym z tych zaścianków szlacheckich, których dziś jeszcze wiele znaleść można w kraju naszym. Dworki te z sobą graniczyły i wbrew powszechnemu zwyczajowi, nie były od siebie odgrodzone. Ta okoliczność, jak się łacno domyśleć, była przyczyną częstych swarów, kłótni i narzekań obu sąsiadów, a szczególnie zacnych ich małżonek, Jmć pani Gertrudy Mojtyłowej i Jmć pani Praxedy Szczukowej, których język był jak na kołowrotku, mianowicie gdy szło o przypięcie łatki swej sąsiadce. Wiele od nich cierpieli ich mężowie, lecz więcej daleko biedne kury, gęsi, kozy i inne domowe zwierzęta, które ani śniąc o jakichś

tam granicach, często gęsto z jednego zaścianka do drugiego przechodziły.

Drażniło to nadewszystko panią Andrzejową, heród-babę, która nie szczędząc ostrych wyrazów, wyrzucała nieraz mężowi dziwną jego opieszałość, że nie zagrodzi jakiegokolwiek płotu lub parkanu. „Ależ moja serdeńko, odpowiadał pan Andrzej; mówiłem ci nieraz, że ta granica od kilkudziesięciu lat zostaje w dyfferencyi“. „Co tam w dyfferencyi. Alboż wszystkiemu zaradzić nie można? Na to głowa na karku. A jeśli ta nic ci nie poradzi, to jedź do miasta i poradź się pana Gryzmoły, to człowiek bardzo przyzwoity, któremu śmiało zaufać można“.

Jak powiedziała, tak się i stało.

Nazajutrz pan Andrzej zapukał do drzwi pana Kalasantego Gryzmoły, który niegdyś był palestrantem, a obecnie wycierał, jak mówią, kąty sądowe. Miał on szczególny dar tumanienia swoją niby nauką biednej szlachty i mieszczan, a szczególnie ich małżonek, którym nie szczędził pochlebstw, prawił komplementa i rozmaitemi drobnostkami dziwnie potrafił ująć i opanować. Różni różnie o nim mówili, wyliczali nawet sprawy nie bardzo zaszczytne, w których żywy brał udział; w ogóle jednak we wszystkich ważniejszych okolicznościach doń się uciekano, większą wiarę przywiązując do jednego jego słowa, niż do całego kodeksu. Człowiek ten mieszkał nędznie, ubierał się ubogo, mówił pokornie, lecz nadzwyczaj płynnie i jak z za rękawa sypał cytaty różnych praw obowiązujących.

Do takiego to człowieka udał się pan Andrzej. Skoro mu od deski do deski wyłożył całą sprawę, pan Gryzmoła zawołał: „Czy tylko tyle?“ „A tyle, dobrodzieju, czyż i tego nie dosyć?“ odrzekł Andrzej. „Nie masz się waszmość czego turbować. Tu dyfferencyi żadnej już nie ma, bo nastąpiło przedawnienie. Jedź waszeć do domu i staw na granicy swojej choćby fortecę, nietylko parkan. Nikt ci tego zabronić nie może“.

Uszczęśliwiony Andrzej odjechał do domu i niebawem rozpoczął stawiać nie płot, ale potężny ostrokół. Macieja od kilku dni w domu nie było. Powrócił w nocy, kiedy wszystko pogrążone było we śnie głębokim, a noc zanadto była ciemną, aby cokolwiek mógł dostrzedz. Dopiero nad ranem wyszedłszy przed dom, spojrzy na zaścianek swego sąsiada i oczom swym nie wierzy: wysoki ostrokół ukrył go niemal zupełnie przed jego wzrokiem.

— Co to jest! — zawołał do wychodzącego z sieni parobka.

— A to pana Andrzeja parkan.

— Jakto, parkan śmiał postawić na spornej granicy, a nawet odciął kawał gruntu mojego! To nie do darowania! Hej chłopcy, weźcie siekiery i marsz ze mną. Nauczę tego chłystka moresu!

To mówiąc wbiegł do domu i przypasawszy szablę, ruszył na czele kilku ludzi, pomiędzy któremi było dwóch jego synów, pod parkan, który wkrótce zachwiał się pod razami siekier i toporów. Łoskot walącego się ostrokołu, łomot żerdzi, huk siekier, szczekanie psów, które się zbiegły z całego zaścianka, rozbudziły ze słodkich marzeń pana Andrzeja, który uchwyciwszy zardzewiały w pochwie od niepamiętnych czasów kord, wybiegł, szczere czyniąc postanowienie, ani na krok nie ustępować swemu wrogowi.

Rozpoczęła się walka. Czeladź starła się z czeladzią, panowie z panami. Żony tych ostatnich i cała czereda dziewek i bab czeladnych, przyglądały się z ganków walce, nie szczędząc słów najobelżywszych. Pan Maciej natarł na pana Andrzeja, lecz temu, w chwili najgorętszej, kord odmówił posłuszeństwa i nie chciał wyleźć ze starej, zardzewiałej pochwy. A pan Maciej obeznany z prawami honoru, nie chciał nacierać na bezbronnego. Stali więc naprzeciw siebie, groźnie na się patrząc. Tymczasem starszy syn pana Macieja, zamiast ciąć toporem w ostrokół, zadrasnął lekko nogę pana Andrzeja. Krew się polała, i p. Andrzej więcej z przestrachu jak z bólu, upadł jak długi na ziemię. Oczywiście nastąpiło zawieszenie broni. Widzowie i aktorowie opuścili pobojowisko, a ich głosy coraz cichły jak grom pośród ustającej burzy.

W owe czasy, nie wielu było doktorów, ba, dawał się nieraz czuć brak byle jakich nawet felczerów. Musiano tedy p. Andrzeja zawieźć o kilka mil do powiatowego miasteczka, o któremśmy wyżej wspomnieli. Rana nie była niebezpieczną i po krótkiej wizycie u doktora, nasza para mogła wyruszyć w podróż do domu. Lecz nieszczęście chciało, że się im nawinął, szukający po mieście klientów, pan Kalasanty Gryzmoła.

Chytry lis poznał zaraz z nadzwyczajnej bladości pana Andrzeja, że się mu coś nadzwyczajnego przytrafiło. Przybiegł tedy skwapliwie do wózka chorego, wycałował go na wszystkie strony, palnął komplement Jejmości i ujrzawszy nogę obandażowaną. „Co widzę, zawołał, waszmość jesteś raniony?“ „Ej, nic

to, odparł Andrzej, doktór mi zaręczył, że za kilka dni będę zdrów". „Któż to ośmielił się na tak prawego obywatela podnieść rękę?" pytał Gryzmoła, udając nadzwyczajną czułość. Pani Andrzejowa opowiedziała mu całą przygodę. „Jakto, zawołał Gryzmoła, i Waszmość nie myślisz temu zbójcy wytoczyć procesu? toż to kryminał, wszak statut w rozdziale XI-ym, artykule 16-ym powiada: A jeśli kto nie zabije, tylko rani, ten, będzie-li szlachcic, za szlachcica obrażenie ucięciem ręki karany będzie". „Ej, panie Kalasanty, odparł Andrzej, to stało się niechcący". „Jakto niechcący, wrzasnął Kalasanty, to on niechcący mógłby pana zabić? Waszmość nawet nie możesz utaić przed prawem takiej zbrodni. Nikt nie powinien oszczędzać zabójcy, bo...".

„Ależ on mnie nie zabił", przerwał pan Andrzej". „Tak, ale ranił, a więc mógł zabić". „Ej, jaka tam rana, odparł pan Andrzej, toć jeno draśnięcie przypadkowe". „Tak, draśnięcie, draśnięcie, a gdyby waszmość nie zapobiegł, coby było z tego draśnięcia?" „Jużciż gangrena". „A z gangreny?" „Śmierć podobno". „A widzisz, więc on jest zabójcą. Ale zajedźcie waszmość do mnie, a tam uradzim, jak w tym przypadku postąpić należy".

Skoro Mojtyłowie przyjechali do prawnika, ten rozwinął całą swą prawniczą erudycyę, byle tylko skłonić Andrzeja do wypowiedzenia Szczuce procesu o napad, zamach i zranienie. Że zaś pan Andrzej, jako daleko mieszkający od miasta i nieobeznany z prawem, nie łacno mógł doglądać swej sprawy, poruczył ją zatem pieczy p. Kalasantego, któremu na ten cel z góry dał kilkadziesiąt złotych. „Ale, ale, zawołał ten ostatni, gdy Mojtyłowie wsiadali do wózka, prawo tego wymaga, aby się wszelkie tranzakcye pomiędzy nami odbywały *sub secreto;* otóż, musisz mi Wmość przyrzec honorowo, że nikt w świecie nie będzie wiedział, iżem się podjął bronić sprawy waszmościnej".

Pan Andrzej, poczciwa dusza, nie podejrzywając prawnika wcale o złe zamiary, dał mu uroczyste *verbum nobile,* że ani słówka nikomu o tem nie powie i wyjechał przez na wpół rozwaloną bramę Gryzmoły.

Ledwie bryczka p. Mojtyły się wytoczyła, gdy zaturkotał wózek pana Szczuki, który podejrzywając wyjazd p. Andrzeja do miasta, postanowił się dowiedzieć, czyli nie myśli ten ostatni przedsięwziąść przeciw niemu kroków prawnych. Widząc go wyjeżdżającego od prawnika, utwierdził się w tem mniemaniu i groźnie namarszczył brwi, nieufnie spoglądając na

Gryzmołę, który z rozwartemi rękami biegł na jego spotkanie:

„Szanownego pana Macieja, kopę lat jakeśmy się nie widzieli? Jakaż to gwiazda szczęśliwa, ozdobę naszej szlachty w moje chudo-pacholskie progi sprowadza? A, domyślam się, to pewno sprawa z Mojtyłami? Głupie ludziska! grożą Waszmości procesem, jakby coś wielkiego się stało, żeś go Waszmość trochę pokiereszował? Ale niech waszmość będzie spokojny, już ja w tem, że oni mu procesu wydać nie ośmielą się. To waszmość raczej powinieneś ich pozwać. Albož nie zgwałcili dyfferencyi? albož nie najechali pańskiej granicy! nie podeptali ogrodu, nie poniszczyli *kosztownych roślin?*“ „Tegoć wprawdzie nie było“, wtrącił pan Maciej. „*Beata simplicitas!* nie było, ale mogło być, a to na jedno wychodzi, nieprawdaż dobrodzieju?“

I tu rozwinął całą swą erudycyę, użył wszelkich wykrętów prawniczych, przekonywał, prosił, zaklinał, aż pan Maciej na seryo uwierzył w konieczność procesu, i dla tych samych przyczyn co Andrzej powierzył mu swą sprawę, dał zadatek wraz z uroczystem przyrzeczeniem dochowania tajemnicy, i dziwiąc się w duchu przenikliwości pana prawnika, odjechał do domu.

Tym sposobem dwie sprawy naraz się wytoczyły przed kratkami Sądu Ziemskiego, i rzecz szczególna, w obu tych sprawach strona powodowa była zarazem obżałowaną i na odwrót. Pan Maciej pozywał przed kratki pana Andrzeja, nie wiedząc, że sam był przezeń pozwany. Toż samo działo się i z Andrzejem. Co większa, oba widzieli w Kalasantym swego obrońcą sądowego, nie domyślając się przecież, że on i jednemu i drugiemu służy, czyli, że jednego i drugiego zdradza; co na jedno wychodzi, bo dwom panom służyć niepodobna. Każdy z nich niecierpliwie oczekiwał pozwania swego sąsiada, nie wiedząc, że sam może być pozwany; każdy wyglądał pomyślnego rozwiązania sprawy, nie domyślając się, że ono dla obu stron będzie niepomyślnem. Kołysani tą błogą nadzieją, oczekiwali z utęsknieniem przybycia woźnego z pozwem.

Pewnej niedzieli wieczorem w obu dworkach byli goście, w jednym i drugim całe towarzystwo siedziało na ganku, używając miłego chłodu wieczornego. Sąsiedzi spoglądali na siebie tryumfująco, nie mogąc utaić swej wewnętrznej dumy i radości z blizkiego upokorzenia swego przeciwnika.

— Czy widzisz serdeńko, mówił pan Andrzej do żony, jak Szczukowie nosa spuścili? Żal mi ich, Ale cóż robić, takie już widać przeznaczenie Boskie!

Pan Maciej tymczasem mówił do swoich: „Uważacie waszmość jak Mojtyłowie osowieli? No, niema nic dziwnego. Nie trza było grozić mi procesem, teraz mają za swoje! Nie chciałbym ich wszelako gubić, wszak to między nami jakieś pokrewieństwo zachodzi. Dziwi mię jednak, mówił dalej, że sąd tak zwleka z pozwem. Ale cyt! patrzcie waszmość!“

To mówiąc ukazał ręką na niepokaźną małą figurkę, z wiązką papierów pod pachą, która się zwolna zbliżyła przed dworek pana Andrzeja, i trwożliwym głosem poczęła czytać pozew, wzywający tego ostatniego przed kratki sądowe. „A co, nie mówiłem wam, zawołał pan Maciej, że postawię na swojem. Wszak to woźny z pozwem. Poczciwy Gryzmoła!„

Tym razem p. Maciej się nie mylił. Był to istotnie woźny, który wiedząc o łagodnym charakterze pana Andrzeja, ośmielił się odczytać mu osobiście wezwanie sądowe. Nie myślimy tu opisywać, ani zdziwienia i przestrachu Mojtyłów, ani tryumfu Szczuków. Ten jednak ostatni wkrótce przeminął. Nie upłynęło bowiem pół godziny, gdy p. Rymsza, teść p. Macieja, który mieszkał na drugim końcu okolicy, przyszedł doń trzymając w ręku jakiś papier. „Co to za papier trzymasz, ojcze?“ zapytał Maciej. „A to pozew podobno do waszeci,“ odpowiedział stary. „Ej, to chyba omyłka“, zawołał p. Maciej niespokojnie, biorąc papier do ręki. „Dzieci dajcie okulary!“ Gdy je przyniesiono, wlepił oczy w papier, a śmiertelna bladość okryła jego czoło. „Co ci takiego?“ zapytała pani Maciejowa. Lecz mąż jej zamiast odpowiedzi zgrzytnął zębami i podniósłszy konwulsyjnie ściśniętą pięść, wstrząsł nią kilkakrotnie, poglądając na Andrzejowy zaścianek i zawołał piorunującym głosem: „Ty lub ja, pójdziem z torbami, a postawię na swojem“.

Był to istotnie pozew sądu ziemskiego, który woźny, bojąc się odczytać mu osobiście (znał bowiem zapalczywy charakter p. Macieja) wręczył teściowi jego. Przy pozwie był mały liścik p. Kalasantego te słowa zawierający:

„Mnie wielce miłościwy panie i dobrodzieju mój! Dopiero com się dowiedział, że przeciwnik waszmość pana JMć pan Andrzej Mojtyło ośmielił się mu wydać proces, a co większa pozwać go przed sąd ziemski, którego pozew wraz z tym listem dojdzie rąk WM. pana. Niech to jednak WM. pana nie trwoży. Sprawa wprawdzie ważna i wielkiej czujności potrzebuje, wiele kosztów przyjdzie waszmości jeszcze ponieść, ale, jakem to panu mówił, wyjdziem, przy pomocy Bożej, cali i czyści z tej afery. Na pozwy waszmość nie zważaj, przyjeżdżać do miasta nie masz potrzeby, bo z duszą i ciałem od-

dałem się waszmościnej sprawie, zupełnie nie pamiętając o sobie. Przytem i t. d.“

„P. S. Ponieważ od kilku tygodni szafuję swój krwawo zapracowany grosz, racz mi WMć nadesłać pareset złotych, które interesa jego postawią na nogi“.

Takiż sam list co do słowa, prócz adresu i nazwiska, wręczył woźny wraz z pozwem panu Andrzejowi, który również jak pan Maciej, nie zaniedbał posłać na ręce Gryzmoły żądaną kwotę. A kwota ta na owe czasy była sumą niemałą dla biednego szlachcica, który żył z pracy rąk własnych, który pracował w pocie czoła na swoje i dziatwy swej utrzymanie!

Gryzmoła tymczasem rozwlekał sprawę, jak mógł, durzył sędziów rozmaitemi wykrętami, zręcznie podsycał namiętności obu sąsiadów, to okazując im zdala pomyślny rezultat sprawy, to grożąc okropnemi skutkami przegranej, w razie opieszałości którego z klientów lub niedostatecznego sukursu (jak nazywał) w pieniądzach, które wreszcie przebrały się u obu sąsiadów. Wówczas Kalasanty Gryzmoła puścił się na nowy rodzaj spekulacyi: oświadczył naszym sąsiadom gotowość prowadzenia ich procesu swoim kosztem, z warunkiem atoli oddania tych pieniędzy zaraz po wygranym procesie.

W tym celu za każdem widzeniem się z którymkolwiek z procesujących sąsiadów, przedstawiał mu do podpisu kwity na jego imię, sporządzone wedle wszelkich wymagań prawnych i wydawane tytułem pożyczki; obejmowały one wydatki, poniesione jakoby przez p. Kalasantego na koszta prawne. Sąsiedzi lubo się krzywili i dąsali, musieli jednak podpisywać; każdy z nich bowiem w rozstrzygnięciu tej sprawy, złote góry sobie obiecywał i przyrzekał wynagrodzić kiedyś to, co się dzisiaj uroniło. Niebaczni, zaślepieni namiętnością, nie czuli nawet, że po szyję brodzą w błocie, i ani im na myśl nie przyszło, aby się wycofać zeń, póki była pora ku temu. Szatan w postaci Gryzmoły ciągnął ich naprzód, nie dozwalając się obejrzeć poza siebie. Grzęźli więc coraz bardziej, coraz głębiej, a kwity rosły z przerażającą szybkością.

Taki stan nie mógł trwać długo. Sama Opatrzność wykryła zdradę Gryzmoły. Raz bowiem, gdy posyła listy do obu sąsiadów, posłaniec przez nieostrożność je zamienił, list do pana Macieja, dostał się w ręce pana Andrzeja, list zaś pisany do tego ostatniego, dostał się pierwszemu. Oszukaństwo Gryzmoły ukazało się w całej ohydzie. Sąsiedzi postanowili podać sobie ręce. Niestety! było już zapóźno!

Pan Maciej pierwszy przestąpił próg przeciwnika w zamiarze pojednania się. „Panie bracie! zawołał: obaśmy się pono zawiedli, zawiedli okropnie! Naumyślnie nas z sobą skłócono, aby potem w mętnej wodzie ryby łowić. Sąsiedzie! to woła o pomstę do Boga!“

— Tak, tak, zawołał Andrzej ocierając łzy rękawem, skłóciliśmy się nie wiedząc o co, i z muchy wołuśmy zrobili. Nie lepiejże nam było siedzieć spokojnie, chwalić Boga i żyć, jak na prawdziwego szlachcica i chrześcijanina przystało! A dziś gonim ostatkiem z łaski tego wisielca, i kto wie, czy nie pójdziem jeszcze z torbami.

— Bracie, zawołał Maciej, wyciągając rękę ku niemu, wszakże już nie będziem prawować się, a więc i tracić więcej nie będziem.

— Tak, odparł Andrzej, podając mu rękę, ale kwity, któreśmy Gryzmole wydali... on może nas zgubić.

— Prawda, rzekł Maciej, smutnie zwieszając głowę. Nic jednak nie zaszkodziłoby pojechać nam do miasta, zajrzeć do sądu, wyrzucić hultajowi niecny jego postępek, a może się też skruszy, zawstydzi. Wszak i to człowiek na obraz i podobieństwo Boskie stworzony.

— Wątpię, odrzekł Andrzej, jednak pojedziem; przynajmniej wycofamy naszą sprawę z sądu i skończym ją polubownie.

W parę godzin potem obaj sąsiedzi w jednej bryczce jechali do miasta. Sprawę swoją ukończyli, opłaciwszy wprzód koszta prawne, które do reszty wyczerpały ich szczupłe zapasy. Gryzmoły zaś wcale nie znaleźli w mieście. Powiedziano im, że się wyniósł zupełnie, ale dokąd, niewiadomo. Ucieszeni tą wiadomością, sądząc, że się Gryzmoła poprawił, szybko wracali do domu, aby się ze swojemi dobrą nowiną pocieszyć i zapić zgodę starym lipcem kowieńskim.

Zbliżając się ku domowi, uczuli dziwny jakiś niepokój. Powiększył się on i wzrósł w przerażenie, gdy usłyszeli w domu płacz i lament, ujrzeli uwijające się po swoich dziedzińcach jakieś obce twarze, a pośród nich żyda *szejne morejne*, obliczającego wynoszone z domów sprzęty.

— Co to jest? zawołał pan Maciej piorunującym głosem.

— To jest, odpowiedział powolnie izraelita, że panowie powinniście natychmiast opuścić te dworki, które odtąd do mnie należą.

— Na mocy jakiego prawa, łotrze?

— *Herst du,* łotrze, *grojse fanaberye,* pomrukiwał żyd, na mocy oto tych kwitów, które mam od pana Gryzmoły.

— Ale to być nie może! zawołał Andrzej, my stąd nie ustąpim.

— Nu, jak wola, odpowiedział żyd nisko się kłaniając, to może panowie chcecie procesować? i przy tych słowach uśmiechnął się ironicznie.

Sąsiedzi opuścili smutnie głowę: Nie było co się spierać, kwity były formalne, Gryzmoła uciekł, prawować się nie mieli czem, a zresztą obawiali się. Musieli więc pogodzić się ze swoim losem i poszli — z torbą.

Synowie Macieja zaciągnęli się do wojska, a on sam został podstarościm u jakiegoś magnata. Andrzej zaś jako starszy od niego, nie mógł znaleźć miejsca, siedział więc z żoną na kącie u swego szwagra, którego miał w tejże okolicy, aż wreszcie oddał Bogu ducha. Powiadają, że się zapił. Gryzmoła zniknął bez wieści. Żyd wystawił na miejscu dworku pana Andrzeja karczmę, i rozpajał swoich sąsiadów. Pan Rymsza zaś, załamując ręce z żalu, po ubytku jednego z zaścianków czyli raczej po przejściu takowego w obce ręce, często zwykł powtarzać swoim wnukom, ukazując im dworki obu powaśnionych sąsiadów: „Tak kończą ci, co bez ważnej potrzeby, uciekają się do prawa, zapominając, że największa wygrana jest w zgodzie braterskiej“.

II.

Obrazek z życia ludu wiejskiego.

— Ach, Basiu moja! widzisz tych drzew parę i ten kawałek łąki, to całe nasze nieszczęście! Gdyby nie to, ojcowie nasi żyliby w zgodzie i miłości, jak dawnemi laty, a dzisiaj, dzisiaj... śmiech i żal wyznać! Zrobili się wrogami zawziętymi. wieczny kłopot, swary i Bóg wie, czy się pobierzemy?

Tak przemawiał młody parobczak do obok stojącej hożej dziewoi, córki sąsiada.

— Nie, Grzesiu mój, nie tych kilka drzew, nie ten kąsek trawy, ale ten wrogi Szymon Smarowalski i ten bezbożny Wyga: ci obaj naszem nieszczęściem. Oni to podburzyli naszych ojców na siebie, oni namówili ich do procesu; nie ma o co się prawować, bo i tak ta ziemia tego nie warta ile każdy z nich dla siebie już wyciągnął. Ot, i wczoraj dał ojciec Wydze barana dużego jak cielę! Szkoda naszych ojców, szkoda naszych lat młodych! Już trzeci rok mija jak się prawują

i chodzą do sądu, procesowi nie ma końca, a niepokój, swary, troski, że Boże uchowaj!

— Dobrze ty mówisz Basieczko, to oni obadwaj nasi zawzięci wrogowie! Z miłością naszą ukrywać się musimy, jakby to co złego było. Najbiedniejszy pastuch, najbiedniejsza dziewczyna mogą sobie wybrać ulubieńca lub ulubienicę, a my, dzieci tak zamożnych rodziców, jakich nie ma drugich we wsi naszej, my musimy się schodzić po kryjomu i broń Boże, gdyby ojcowie nasi dowiedzieli się, że się kochamy. Lecz prawda Basiu, że nie oddasz ręki innemu, gdyby cię rodzice wydać chcieli?

— Nie, Grzesiu jedyny! — odpowiedziała zapłoniona Basia — będę ci zawsze wierną.

— O, gołąbko moja najdroższa!

Nagle w zaroślu coś zaszeleściło, Grześ i Basia spłoszeni jak dwa gołębie, ukryli się w gęstwinie łozy i stali tam jak wrośnięci. Ku nim zbliżyło się dwóch ludzi. Ludzi?... Nie, to nie byli ludzie, to był Smarowalski i Wyga, dwaj pokątni pisarze i podszczuwacze ludu.

— Ot, widzisz Szymonie, — ozwał się ostatni — stoimy teraz właśnie na tym kawałku, o który procesują się głupi chłopi. Błażej powiada, że ten potoczek płynął dawniej tędy jak tych pięć jodeł, otaczał je i dalej płynął jak teraz; Mikołaj mówi, że potok był i będzie zawsze granicą ich łąki, a ponieważ potok płynie teraz poza pięcioma jodłami, to pięć jodeł i ta łączka należą do niego.

— Więc Mikołaj chce przywłaszczyć sobie własność Błażeja! — odpowiedział Smarowalski.

— Czy ci to co szkodzi? — spytał Wyga.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Smarowalski, aż echem odpowiedział las poza nimi.

— Sądzisz Szymonie, żem rozum postradał? Ma mi szkodzić, że głupi chłopi procesują się o marny kawałek gruntu?... Szczęście moje, żem natrafił na tak upartego ciemięgę, to dojna moja krówka! O, gdybyś widział, ile mi ten głupi chłop naznosił już pieniędzy, kartofli, kur i baranów... to i zliczyć nie umiem, i to przez całe 3 lata.

— Szczęście to nasze, bo szczęście! — odpowiedział Wyga. I Błażej także stracił nie mało pierza! o! umiem ja należycie golić chłopów bez brzytwy! Lecz rozważ tylko w jakim byłem strachu... Będzie może z rok temu, doradził Błażejowi ksiądz, żeby się udał do adwokata. Hej, kręciłem ja, kręciłem, zanim odwiódłem od tego Błażeja.

— Bo po co taki Proboszcz mięsza się do wszystkiego, on i mego Mikołaja ostrzegał przedemną, że darmo biorę pieniądze...

— Prawdę mówiąc, to ksiądz i nie źle mówił, zaśmiał się Smarowalski. Już to my obaj końca tej sprawie nie wywiedziemy.

Ale teraz bierzmy się do rzeczy; ratujmy się jak można! Proces już na schyłku, bieda nie śpi! Chłopstwo gotowe się zgodzić, i nie zechce apelować po pierwszym wyroku; zatem do rzeczy! Nie ma nikogo, bo niedziela, wieś cała w karczmie.

— Do rzeczy! dodał Wyga. Obaj krętacze wyrąbali koły, wydobyli z pod surdutów żelaziwo od motyki, osadzili je na kołach i dalejże kopać rów, którym puścili potoczek i zmienili na niekorzyść Błażeja o znaczny kawałek starą granicę. Stare łożysko strumyka zawalili kamieniem i szutrem, poczem odeszli śmiejąc się głośno z głupich chłopów.

Grześ i Basia widzieli złoczyństwo obu chciwych pokątnych pisarzy. Grzesia aż dłoń świerzbiała, by wypaść z ukrycia i wypisać krętaczom protokół, żeby go dłuższy czas czuli na swych plecach. Basia jednakże wstrzymała go od tego.

Teraz pożegnali się serdecznie, i naradziwszy się co im robić wypada, rozeszli się każde w swą stronę.

* * *

Niewiele brakowało a biedny Błażej i Mikołaj byliby popadli w większe nieszczęście, ujrzawszy, że nieszczęsny potok znów płynie innym korytem, i znowu zmienił granicę ich zarośniętych łąk w tem miejscu.

Błażej spostrzegłszy swą nową krzywdę, spotkał się po tym wypadku z sąsiadem swoim Mikołajem; przeklinał i złorzeczył mu sromotnie, i byłby słabszego Mikołaja pewno poturbował kołem z płota, gdyby Mikołaj nie uciekł był do chaty i nie wybiegł na dwór ze strzelbą w ręku. Na szczęście zobaczył Grześ niebezpieczeństwo, odebrał ojcu przemocą strzelbę i odwrócił tem samem od obu rodzin okropne niebezpieczeństwo.

Jakieś atoli bezgraniczne zaślepienie, jakaś niesłychana zawziętość owładnęła gospodarzów do tego stopnia, że chociaż im dzieci z osobna opowiedziały całą rozmowę Smarowalskiego z Wygą, ani się tem opamiętali, ani też zasmucili. Przeciwnie, cieszyło ich to, że znaleźli nowy powód do dalszego proceso-

wania. Ochłonąwszy z gniewu, obaj wyruszyli do miasta, jak mówili do swoich adwokatów.

Zaledwie ojcowie wyszli z domu, dzieci ich Grześ i Basia zeszli się za ogrodem przy potoku, gdzie codziennie zwykli byli się widywać.

— I cóż teraz będzie? — zapytała Basia.

— Co? — odparł Grześ — myślę, że aż teraz będzie koniec biedy.

— Koniec?... i jakimże sposobem!...

— Moja w tem głowa. Proszę cię Basieczko, uczyń mi jedno, a wszystko pójdzie dobrze.

— Zrobię wszystko, powiedz tylko co mam zrobić?

— Ojciec mój mówił, że wróci z miasta ze Smarowalskim, aby on obejrzał w jaki sposób granica zmieniona.

— Mój zaś ojciec wróci z Wygą! — odpowiedziała Basia.

— Spodziewałem się tego. Tym razem nauczę ja tych podżegaczy i szachrajów tańczyć! Ty Basieczko powiedz wieczorem waszemu Wydze, że na jedlinie, wiesz? na tej starej, na której jastrząb się gnieździ, tyś widziała, jak ojciec mój schował coś wylazłszy po drabinie. Powiedz, iż tobie się zdaje, że to będą pieniądze w garnku i że ojciec drabinę ukrył w łozie, ale powiedz mu to wszystko, by nikt tego nie słyszał.

— Wiem, wiem, on pewno polezie na jodłę!

— Tego nam potrzeba.

Basia i Grześ porozmawiali z sobą jeszcze chwilę o swojem przyszłem szczęściu i rozeszli się.

Na drugi dzień wrócili rano Mikołaj ze Smarowalskim a Błażej z Wygą. Obaj przeciwnicy z „adwokatami“ poszli oglądać nową granicę na łące i gotować się do nowego procesu.

Pod wieczór wyniósł się Wyga cichaczem z chaty i poszedł na łąkę. Basia dała o tem znać niezwłocznie Grzesiowi.

Wyga zbliżył się ostrożnie do znanej mu już jodły, przetrząsnął łozinę, znalazł w niej ukrytą drabinę i z pośpiechem wylazł na jodłę. Ale zaledwie zeszedł z drabiny, zjawił się Grześ i drabinę zabrał.

Daremnie Wyga krzyczał i wołał, Grześ udawał, że nie słyszy tego. Mikołaj ze Smarowalskim układali w domu plan, jakby rozpoczynać „prawo“ o przekopanie granicy. Na to wbiegł syn zadyszany przerwał im ich rozmowę. Doniósł on, że wraca z łąki, i widział jak Wyga z Błażejem wyleźli na jodłę, na której oddawna jastrzębie się gnieżdżą, i porobili na wierzchołku jakieś znaki.

— To zdrada piekielna! — zawołał Smarowalski — znaki te trzeba zniszczyć, zatrzeć!

— A ja dodam — wtrącił Grześ — że te znaki trzeba zaraz zniszczyć. Słyszałem jak mówili między sobą, że sprowadzą zaraz komisyę i przekonają ją, że na tej jedlinie są znaki jeszcze od dziada Błażejowego.

— A to złość niesłychana! — rzucał się Mikołaj.

— Tylko żywo — nalegał Grześ — na dworze grozi burza, chodźmy prędko. Drabinę ukryłem w gąszczu, chodźmy, bo kto wie, jakie czary oni na drzewie porobili!

Mikołaj, Grześ i Smarowalski, co prędzej ruszyli na łąkę. W dali rozległ się huk gromów.

Za kwadrans byli na miejscu; tu zmówili się, żeby Grześ wylazł na jodłę i przekonał się, jakie tam porobione znaki. Grześ raźnie przystawił drabinę i za chwilę znikł w gąszczu gałęzi.

Dostawszy się do Wygi, trzymającego się oburącz gałęzi, szepnął mu, że jeżeli piśnie słowo, zrzuci go zaraz z drzewa, jeżeli zachowa milczenie oswobodzi go rychło.

— No i cóżeś widział? — pytał Grzesia Smarowalski i ojciec, gdy zlazł z drzewa.

— Co? a Bóg raczy wiedzieć co to takiego!... kora odarta, drzewo zaciosane, i na niem jakieś pismo. Szkoda, że czytać nie umiem?

— Panie Smarowalski! — rzekł Mikołaj — uczyń to dla mnie i zobacz co tam takiego napisane.

— Bądź pan łaskaw! — prosił Grześ — po tej jodle leźć nie trudno, jak po drabinie.

— Hm, ja mam swoje życie narażać? boję się.

— Ej, nie bój się pan! prosił dalej Grześ. Nie chcę tego darmo, dam panu z własnej kieszeni dwa reńskie. Zląkłem się tych strachów, bo to idzie o naszą ojcowiznę!

— Tak, tak synu! o naszą ojcowiznę! Panie Smarowalski i ja za trud dodam pięć reńskich. Poleź i zobacz co oni tam wypisali.

Szymon Smarowalski poskrobał się w głowę, cmoknął językiem i wreszcie bojaźliwie wylazł na jodłę.

Zaledwie doradzca opuścił drabinę, Grześ żywo niby przez nieostrożność trącił drabinę i uderzył nią tak silnie o sąsiednią jodłę, że przełamała się we dwoje.

— Ach nieszczęście! — westchnął Grześ. — Nieśmy że prędko tatulu, drabinę do domu, i naprawmy ją, toż pan „adwokat“ nie może nocować na drzewie. Sam nie podołam tak ciężkiej drabinie.

— Hej! bójcie się Boga! idźcie i wracajcie żywo nim burza nadciągnie.

— Dobrze! dobrze! — odrzekł Grześ. — A teraz tatulu co prędzej do domu. Słyszycie jak grom huczy, trzeba ratować pana „adwokata“.

I obaj pobiegli przez łąkę, lecz zaledwie weszli do chaty, gdy deszcz lunął jak z cebra a pioruny łamały się ustawicznie.

Mikołaj raźnie wziął siekierę i szukał odpowiedniego kawałka drzewa, aby pozbijać złamaną drabinę. Grześ zwijał się na podwórku i śmiał się cichaczem. Za chwilę jednakże i jemu zrobiło się straszno, pobladł ze strachu. Grzmot za grzmotem spadał straszliwie, okropna ulewa zalała w jednej chwili potoki, łoskot i szum wody, do którego mięszał się huk grzmotów, napełnił powietrze.

Grześ uchwycił topór, zabrał sznur ze sobą i pospieszył mimo deszczu na łąkę. Po drodze widział on straszną siłę przyrody. Potoki zamieniły się w rzeki, woda rozlała się po polu i łące, i wyrywała pomniejsze drzewa z korzeniami. Z największą uwagą pomykał się coraz dalej i dotarł wreszcie do znanej jodły, z której dolatywał go słaby głos dwóch „adwokatów“.

I dziwo! tuż pod jodłą ujrzał on stojącego nieruchomie Błażeja, a gniew i złość malowały mu się na twarzy.

— Czekajcie panowie! zaraz was oswobodzę! — pocieszał Błażej pokutujących pisarzów, — zmęczyłem się, muszę odetchnąć.

Grześ usiadł pod jodłą i łagodził sznur. Noc już zapadała. Naraz błysło tak okropnie, że Grzesia jakby oślepiło a wnet potem rozległ się huk gromu a za nim trzask jodeł. Grześ ścierpł na całem ciele.

Oprzytomniał po chwili i ujrzał okropny obraz.

Czy burza, czy też grom powalił jedną z jodeł, która padając złamała jodłę, pod którą stał Błażej. Ujrzał przerażony Grześ, leżącego na ziemi ojca Basi. Przypadł do niego, wziął go na plecy i zaniósł co rychlej do chaty swej Basi, która znacznie stała bliżej. Tu rozporządził, aby natychmiast posłano po księdza z plebanii.

Stary Błażej leżał bez przytomności, widocznie nieżywy! Ale nie było na nim najmniejszego śladu jakiegokolwiek uszkodzenia.

Basi nie było w chacie.

Zacny Proboszcz przybył już po chwili; posłaniec spotkał

przypadkowo księdza przejeżdżającego opodal chaty sąsiedzkiej, do której, wracając z miasta, chciał się schronić.

Wnet dowiedział się Proboszcz o całym wypadku i nakazał wykopać jamę niby koryto; w jamie tej położono Błażeja i przysypano ziemią po piersi. Już po chwili dostrzedz było można wracające ślady życia starego Błażeja, a Proboszcz uspokoił rozpaczającą żonę jego Maryę, że Błażej żyć będzie.

Kiedy oznaki życia powróciły i Błażej prawidłowo oddychać począł, Grześ wydobył go z jamy, zaniósł do chaty i według zlecenia Proboszcza nacierał skroń i pulsa rozwodnionym octem. Błażej otworzył oczy, nie mogąc jednak mówić słowa.

Teraz dopiero spytał Grześ Maryę gdzie Basia. Ze strachem odpowiedziała staruszka, że Basia jeszcze przed burzą poszła za potok, gdzie bieliła płótno i tam pewno zaskoczyła ją burza.

Grześ pobiegł co mu sił starczyło na wskazane miejsce i tu znalazł Basię szlochającą. Dziewczę stało pod burzą rozwaloną szopą, a przybiegłszy na miejsce nieszczęścia, ujrzał z przerażeniem leżącą na ziemi matkę swą Katarzynę. W krótkich słowach rozpowiedziała mu Basia co zaszło. Ona i Katarzyna skryły się przed szalejącą burzą do szopy, która wszelako bardzo stara nie oparła się wichurze. Kiedy dach spadał, krokiew uderzyła Katarzynę tak silnie w głowę, że przytomność straciła. Katarzyna ale żyła widocznie, oddychała.

Basia i Grześ zanieśli teraz Katarzynę do chaty Błażeja. Burza już uciszyła się i miesiąc wypłynął na pogodne niebo. Do chaty Błażeja przyszedł także i Mikołaj, zawiadomiony o nieszczęściu jego żony.

Błażej i Katarzyna odzyskali po wielu staraniach mowę, a Proboszcz na ich prośbę upadł przed obrazem na kolana wraz z wszystkimi obecnymi. Po modlitwie przemówił on łagodnie do Błażeja i Mikołaja, mówił o pojednaniu się, o przebaczeniu i zakończył naukę słowami: „Nie pożądaj domu bliźniego twego, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest“.

Sąsiedzi podali sobie dłonie nie wyrzekłszy słowa; milczenie to ich jednak było wymowniejszem, niżeli mowa.

Grześ i Basia korzystając z dobrej chwili, padli rodzicom do nóg i rodzice pobłogosławili ich i przyszły związek.

— Pora teraz — rzekł w końcu Grześ — oswobodzić złych duchów, którzy zatruwali nam przez tyle lat nasze nieszczęście i życie spokojne.

Po tych słowach poszedł Grześ do kępy jodeł na łące, wylazł za pomocą 2 siekier na jodłę, opasał na wpół nieżywych „adwokatów“ sznurem i spuścił ich na ziemię.

Poczem wszyscy trzej wrócili do chaty Błażeja i tu przyrzekli doradcy nie mącić nigdy więcej spokoju między dwoma sąsiadami.

Niedługo potem odbyło się huczne wesele u Błażeja. Basia i Grześ byli szczęśliwą parą. Ks. Proboszcz nauczał zebranych parafian, że nigdy za marną rzecz nie należy się prawować i najlepiej godzić się polubownie. Gdyby już konieczna zaszła potrzeba procesu, wówczas należy się udawać do adwokatów przysięgłych, którzy prawo rozumieją, a nie do pisarzów pokątnych, którzy bez sumienia obdzierają włościan, nie mogąc i nie umiejąc im pomódz.

— Święta prawda, księże Proboszczu! — ozwali się Błażej i Mikołaj. — Nie mało naszego dobra poszło w bezdenne kieszenie Smarowalskiego i Wygi i gdyby nie Bóg, jastrzębie byłyby teraz gnieździły się w naszych chatach.

Pruskie Romnowe.

(Urywek z dziejów starożytnych narodu litewskiego).

Najstarożytniejsze pogańskie świątynie Litwinów, były w gajach i pod świętem drzewem dębu, a taki przybytek składający się z namiotu osłonkowego na kształt parawana, lub stałego ogrodzenia, z drzewa lub z muru, nazywał się Romne, albo *Romnowe.*

Takie Romnowe, według historyka Hartknocha, znajdować się miało między rzekami Frieszhing i Beysleyn, gdzie później stał klasztor Trifaltigkeit, fundowany przez jakiegoś Piotra Nogel von Sehr w samym kącie zejścia się dwóch wspomnianych rzek.

Romnowe owo tak miało wyglądać. Na obszernej płaszczyźnie, oblanej dwiema rzekami, stał pośrodku dąb cudowny, zimą i latem zielony, niezmiernej grubości i wysokości. Do koła drzewa był obwód murowany sześciokątny. Tylna jednak ściana zbliżoną była najbardziej do dęba.

W przodowej części ogrodzenia, znajdował się szeroki otwór. Przed samym dębem były trzy arkady, w których stały posągi trzech głównych bożków: w środku stał Perkun, po prawej Pokillos, po lewej Antrymp. Inne bożki, jako to: Wir-

szajtos, Sznejbrało, Kurko i Ziemiennik mieli posągi umieszczone we framugach węgielnych, wewnętrznych ścian.

Wtyle dębu znajdowały się sklepiki, czyli kryjówki na „gady“ święte. Przed dębem ku ścianie otwartej stały ołtarze do palenia ofiar i utrzymywania ognia świętego.



Romnowe.

Dokoła świątyni był plac, na którym lud się gromadził i był przytomnym obrządkom. Na placu ułożone były sążnie drzewa, przeznaczone na utrzymanie ognia świętego. Plac dokoła otaczały domy kapłanów i innych sług świątyni. Wnijście

tworzyła brama przodowa; po prawej ręce był dom arcykapłana, po lewej gospoda, czyli dom gościnny.

Rysunek, wyjęty z dzieła Hartknocha, a przedstawiający Romnowe, podajemy powyżej.

BIAŁE ORLE.

(Z pieśni „O ZIEMI NASZEJ“ — przez Wincentego Pola).

Mnóstwo ludzi przed gospodą
Tańczy młodzież, rżnie muzyka;
„Bywaj zdrowa mi jagodo!
Jutro siędziem na konika“.

A jagoda, a kochanie
Smutno w tańcu nań spoziera,
To chce śpiewać, to znów stanie,
I fartuszkiem łzy ociera.

Zatrzymała wszystkie pary,
I skinęła ku Warszawie,
Bo z Warszawy wracał prawie
Z nowinami Bartosz stary.

A gdy spostrzegł ponad drogą
Takie tany, potrząsł głową,
I pogroził skrzypkom srogo,
A do chłopców rzekł surowo:

„Dajcie pokój pustej wrzawie,
Bo dziś dzieci wielkie święto,
Dziś okopy przy Warszawie
Z nabożeństwem sypać jęto“ [1])

„A i owo Bóg wysoki
Wielkie cuda nam zwiastuje,
Patrzcie, patrzcie na obłoki!
Co tam z chmur się okazuje?“

„Wszak to dzieci Orle nasze!
Polskich królów Orle one —
Ale patrzcie, jakie ptasze
Srogo piersi ma skrwawione!“

„Prawda! prawda!“ lud zawoła,
Niechaj będzie pochwalony!
„Chodźcie ojcze do kościoła
A wy chłopcy bijcie w dzwony“.

I już niebo poszarzało,
Znikł z przed oczu Orzeł biały,
A lud jeszcze klęczał cały,
I psów wycie się ozwało.

I nazajutrz o tym cudzie
O mil kilka powiadano
„Za Kościuszki — rzekli ludzie —
Orle takie już widziano“.

„Wielka, wielka wojna będzie!
Oj niejeden Moskal zginie;
Lecz i orle krwią opłynie
W Polsce mogił nam przybędzie“.

---

[1]) Mowa tu o powstaniu polskiem w r. 1831.

Różaniec przynosi błogosławieństwo.

(Opowiadanie podróżnego).

Kochani czytelnicy, z których niejeden może nosi przy sobie poświęcony Różaniec i odmawia go codziennie z pobożnością i uwagą, posłuchajcie, jak wielką korzyść przyniósł niegdyś Różaniec dla całej parafii.

Pewnego pogodnego wrześniowego wieczora przechodziłem przez wioskę, leżącą wśród lasu. Miałem właśnie ominąć ubogi kościołek, ale jego wieże strzelające ku czystemu błękitowi nieba, zdawały się wzywać mnie do świątyni jak tajemnicze *sursum corda* (w górę serca), któremu oprzeć się nie mogłem. „Wstąp tutaj na chwilę, zdawały się mówić, oddaj cześć Panu Bogu utajonemu w Przenajświętszym Sakramencie i proś go o błogosławieństwo na dalszą drogę życia". — Usłuchałem więc milczącego tego wezwania i jestem pewny, że czytelnik uczyniłby toż samo. Przeszedłszy przez niewielki cmentarzyk, zbliżyłem się do drzwi kościelnych, które na szczęście nie były zamknięte i po chwili znalazłem się w domu Bożym, którego uroczysta cisza tak wybornie usposabia do modlitwy.

Jak na zewnątrz, tak też i na wewnątrz mały wiejski kościółek odznaczał się prostotą i brakiem wszelkich ozdób; tem bardziej przeto zwracały na siebie uwagę dwa śliczne boczne ołtarze z białego marmuru, które z ubóstwem innych częsci świątyni uderzającą tworzyły sprzeczność.

Ze zdumieniem przyglądałem im się długo, gdy zaś wyszedłszy z kościoła spotkałem na cmentarzu miejscowego ks. Proboszcza, zapytałem go niezwłocznie, w jaki sposób tak uboga na pozór parafia mogła swemu kościołowi dostarczyć tak kosztowncj ozdoby.

— Rzeczywiście — odrzekł zacny kapłan z uśmiechem — historya tych dwóch ołtarzy jest niepospolitą w swoim rodzaju, gdyż zawdzięczamy ją jedynie Różańcowi.

— Różańcowi? — zawołałem bardziej jeszcze zdumiony, a to jakim sposobem?

— Jeżeli pan chcesz, to opowiem panu niezwykły ten wypadek, o którego prawdziwości świadczą kościelne księgi — odrzekł Proboszcz uprzejmie. — Przed 200 laty na krawędzi lasu, przez którą się ciągnęła dawna granica kraju, znaleźli pewnego razu dwaj drwale trupa nieznajomego mężczyzny, w cudzoziemskim ubiorze. Nikt z pomiędzy ówczesnych mieszkańców naszej wioski nie mógł sobie przypomnieć, czy wi-

dział kiedykolwiek tę zimną, bladą twarz, na której pod promieniami wschodzącego słońca połyskiwały krople porannej rosy.

Były to burzliwe, niespokojne czasy, nic jednak nie kazało się domyślać, żeby zmarły padł ofiarą zbójeckiej napaści lub też sam zbrodniczo na własne targnął się życie. Nie, zdawało się owszem, że śmierć zaskoczyła nieznajomego zdala od jego ojczyzny, tak nagle, zdradziecko i nieubłaganie, jak to dość często się zdarza.

Nie znaleziono też przy nieszczęśliwym ani papierów, ani żadnych innych oznak, któreby mogły dostarczyć wskazówek co do jego nazwiska, stanu i miejsca pochodzenia. Ponieważ jednak leżał o 3 kroki od granicy protestanckiego kraju, przeto uchwalono, że tutejszy pastor protestancki powinien na swój cmentarz przyjąć jego zwłoki.

Przed pogrzebem raz jeszcze przeszukano starannie w kieszeniach nieznajomego i wówczas znaleziono coś, co przynajmniej świadczyło wyraźnie o wyznawanej przez niego religii. Oto w kieszeni jego surduta znajdował się różaniec, co dało wszystkim do zrozumienia, że nieszczęśliwy musiał być pobożnym i gorliwym katolikiem.

Wówczas jeden z moich poprzedników postanowił pogrzebać go na swoim cmentarzu podług przepisów katolickiego obrządku. Zwłoki nieznajomego złożono w poświęconej ziemi, w tym samym ubiorze, w jakim je znaleziono, a nawet bez trumny, dla oszczędzenia kosztów. Największem jednak dobrodziejstwem, jakie można było wyświadczyć zmarłemu, było odprawienie Mszy św. za spokój jego duszy, tę zaś najcenniejszą bez wątpienia łaskę zawdzięczał on jedynie swemu Różańcowi.

Od chwili złożenia do grobu zwłok nieznajomego, przestano nim się zajmować i nikt nie zapytał nawet, kto spoczywa pod niewielką zieloną mogiłą, której żadna ręka życzliwa nie ozdobiła ani kwiatami, ani jakąkolwiek symboliczną oznaką.

Zapewne ci, co go znali i kochali za życia, oczekiwali długo jego powrotu, ale nie wiedzieli, gdzie spoczęły zwłoki nieszczęśliwego. Grób jego miał pozostać nieznany, aż do chwili, gdy głos, który niegdyś zawołał: „Łazarzu, wynijdź z grobu!“ zbudzi wszystkich zmarłych z długiego spoczynku i odkryje najbardziej nawet ukryte groby.

Tymczasem obok nieznajomego spoczęło wielu naszych parafian, a nawet niejednokrotnie rozkopywano stare groby,

aby dostarczyć miejsca dla nowych przybyszów. Zdarzyło się tedy, że pewnego dnia jeden z grabarzy odkopał opuszczony i zaniedbany grób nieznajomego i nagle pochylił się zdumiony, ujrzawszy w głębi lśniący jakiś przedmiot. Była to garstka dukatów, które się ukazały nagle jak skarb zaczarowany.

Przerażony grabarz pobiegł do Proboszcza z wiadomością o swojem odkryciu. Z początku mój poprzednik również się zdziwił, ale po chwili domyślił się z łatwością, że prawdopodobnie nieznajomy, którego tu pogrzebano, zaszył pieniądze w swoim ubraniu, aby je tem łatwiej i pewniej ukryć od rabunku. Zacny Proboszcz poczytał sobie za obowiązek zwrócić te pieniądze właścicielowi włości, ten zaś użył ich na przyozdobienie naszej świątyni dwoma wspaniałemi ołtarzami, które podziwiałeś pan przed chwilą.

— Widzisz pan — dodał uprzejmie Proboszcz — że tylko Różaniec zapewnił nieznajomemu podróżnemu miejsce wiecznego spoczynku na naszym cmentarzu i że jemu tylko zawdzięczamy najpiękniejszą ozdobę tutejszego kościoła.

Z wystawy paryskiej w roku 1900.

Na zakończenie wieku 19-go, a więc na przyszły rok, urządza Francya u siebie olbrzymią wszechświatową wystawę, która ogromem swym, przepychem i sztuką ma zaćmić i przewyższyć wszystkie dotychczasowe wystawy światowe.

Dyrekcya wystawy już dziś zapowiada osobliwości, jakich oko ludzkie jeszcze nie widziało. Jednym z największych dziwów, który ma stanowić siłę przyciągającą wystawy, będzie olbrzymi pałac wodny według projektu Polaka, profesora Jana Zawiejskiego, budowniczego teatru krakowskiego.

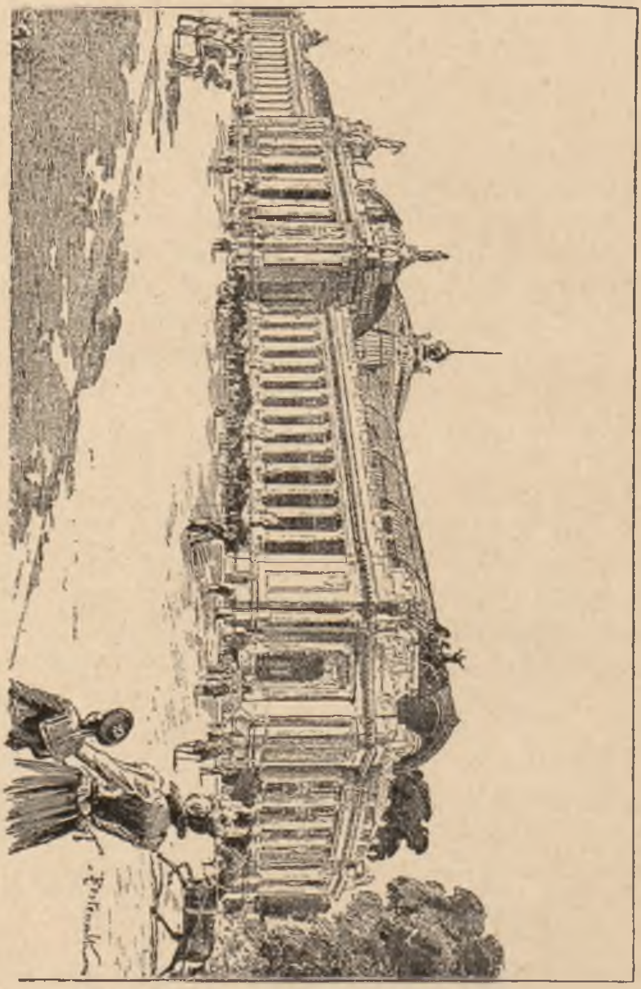
Wykonanie tego projektu będzie kosztowało 4 miliony franków (około 2 miliony złr.). W pałacu tym o ścianach z wody będą mieli goście nietylko zapewniony chłód orzeźwiający, ale i powietrze czyste, a wzrok widzów czarować będzie różnobarwne światło elektryczne.

Drugim wabikiem będzie restauracya austryacka, również według projektu p. Zawiejskiego.

Arcydziełem budownictwa będzie także pałac sztuk pięknych, którego rysunek podajemy na str. 87.

Architekt Morel z Grenobli buduje restauracyą ruchomą, której zadaniem będzie nakarmienie i napojenie jak największej ilości osób w czasie jak najkrótszym i bez natłoku i wrzawy.

Będzie to osobliwsza jadłodajnia. Gość wchodzi do galeryi okrągłej i zasiada przy jednym z 14 stołów. Podłoga galeryi wiruje nieustannie, lecz tak powoli, że ruchu nikt nie czuje. Tuż przy stołach znajdować się będą bufety, zaopatrywane nieustannie w potrawy i czyste nakrycia. Bufetów będzie 8; do gościa przyjadą kolejno: wódki i zakąski, po-



Pałac sztuk pięknych na wystawie Paryskiej w r. 1900.

trawy rybne, zupy, jarzyny, kawa, likiery i papierosy. W przeciągu 3 kwadransy restauracya nakarmi w ten sposób 112 gości.

Inne pawilony, a będzie ich wielka liczba, będą także budziły podziw i budową i zawartością przedmiotów wystawowych. Słowem Francuzi chcą całemu światu zaimponować, i ściągnąć na ten jarmark wszechświatowy miliony ludzi do Paryża.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.